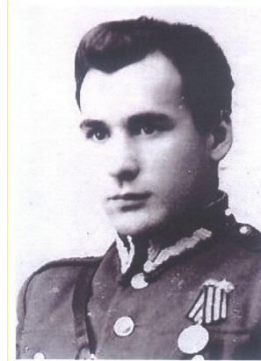


Wspomnienia z czasów okupacji i Powstania Stanisław Burzyński ps. Burza Zgrupowanie Róg

*Opracowane na podstawie materiałów ze zbiorów Muzeum Powstania Warszawskiego,
w tym rozmowy z Małgorzatą Brama w dniu 29 stycznia 2005 roku
oraz osobistej późniejszej, w roku 2011 rozmowy ze Stanisławem Burzyńskim.*

Nazywam się Stanisław Burzyński, urodzony 30 lipca 1922 roku w Warszawie, pseudonim „Burza”, starszy strzelec, awansowany do stopnia kapitana.

W Powstaniu, byłem w Zgrupowaniu „Krybar” i „Róg” w batalionie „Konrada”. Następnie w Zgrupowaniu „Radosław”, batalionu kapitana „Jerzego”. Pod koniec Powstania w II plutonie 104 kompanii szturmowej.



Przed wybuchem wojny uczyłem się w gimnazjum Górskiego, w Warszawie przy ulicy Górskiego, wcześniej ulica nosiła nazwę Hortensji. Tam też zdobyłem małą maturę. Także tam tzn. przy ul. Górskiego mieszkalem, pod numerem 2 przez niemal dwadzieścia lat, aż do momentu, kiedy Niemcy wyrzucili nas stamtąd w 1942 roku.

W sierpniu 1939 roku byłem na obozie żeglarskim w Gdyni. Wracalem w nocy 31 sierpnia pociągiem z Gdyni i już rano zobaczyłem jak nad Modlinem się rozrywają pociski i lecą samoloty. Nie wiedziałem gdzie, skąd? Rankiem dojechalismy do Warszawy, gdzie okazało się, że wojna niestety, wbrew naszym nadziejom, wybuchła.

Po różnych perypetiach, po kapitulacji Warszawy i gdy już rozpoczęła się okupacja wraz z moją siostrą Wandą, sporo ode mnie starszą, a która właśnie ukończyła Instytut Robót Ręcznych otworzyliśmy pracownię pantofli rannych i kapcy, produkowanych z tego co było dostępne i co się do tego nadawało.

W 1942 roku nawiązałem kontakt ze strukturami konspiracji. W 1943 roku byłem już w podchorążówce Związku Walki Zbrojnej. Mieliśmy ćwiczenia i wykłady na Żoliborzu. Powstanie, o którym już wtedy się mówiło lecz termin jego wybuchu trzymano w głębokiej tajemnicy O terminie wybuchu dowiedzieliśmy się dopiero trzy dni wcześniej.

Nasza sześciuosobowa grupa została skoszarowana w mieszkaniu przy ul. Dobrej u kolegi Dominika. Tam czekaliśmy na wybuch Powstania i rozkazy. Łącznik od nas poszedł lecz nie wrócił, więc przyłączyliśmy się do batalionu „Konrada”, który stacjonował na ulicy Smulikowskiego w siedzibie Związku Nauczycielstwa Polskiego, tam wcielono mnie do plutonu szturmowego. Walki prowadziliśmy w rejonie Teatru Jaracza. My po jednej stroni ulicy, Niemcy po drugiej....

Wróć jeszcze do moich początków w konspiracji. Przed wojną miałem sąsiada, ja mieszkalem wtedy jeszcze przy ulicy Górskiego pod numerem drugim a on pod pierwszym – nazywał się Baltaziuk, był sierżantem strzelców piechoty. To on nas tzn. wraz z moim kolegą Staszkiem Grzybowskiem wprowadził w struktury konspiracji. Było nas tam więcej, niestety czas zatarł pamięć, a kontakty się pourywały.

Pierwsze zadania konspiracji to akcje małego sabotażu. Było to rozplakatowywanie wywieszek, ulotek i wiele innych małych akcji tego typu. Szczegóły zatarty mi się w pamięci. Ale chodziło o to, żeby podkreślić, że jesteśmy żołnierzami, czuwamy i będziemy walczyć o niepodległość.

Poza siostrą, o której już wspomniałem miałem brata Jana, cztery lata młodszego ode mnie, dziś mieszkającego we Francji. Także działał w konspiracji i brał udział w Powstaniu. a po jego upadku dostał się do niewoli. Siostrą, absolwentka Instytutu Robót Ręcznych brała aktywny udział w tajnym nauczaniu. Prowadziła tzw. „komplety nauczania”. U nas w domu już po wyrzuceniu nas z ul. Hortensji, przy ulicy Chłodnej był punkt, komórka gdzie zbierali się ci z konspiracji, mieli tam swój pokój. Mieliśmy duże mieszkanie, trzy pokoje z kuchnią, w jednym pokoju się zbierali raz na tydzień, mnie nie dopuszczali do swoich spotkań- wiadomo konspiracja. W pamięci utkwił szczegół jak Niemcom odebrali pieniądze w czasie akcji, na wózku wjechali, czy coś takiego... Jak wszedłem do tego pokoju zobaczyłem masę pieniędzy na stole. „Odejdź” – powiedzieli mi ostro, żebym nie widział jak oni rozdzielali pieniądze na konspirację.

Siostra, poza kompletami, które organizowała i jednocześnie w swojej specjalności prowadziła, przechowywała rodzinę żydowską u siebie w domu. Jej koleżanka, Bożenka, która uczyła mnie francuskiego ukrywała u nas swego brata.

Wracając do Powstania. Wybuchło. Wysłany łącznik nie dotarł do nas tam gdzieśmy czekali na wybuch Powstania. Matka kolegi – Dominika, u której czekaliśmy na rozkaz wzięła nas, powiedziała: „Przecież ja wszystkich znam ze Związku Nauczycielstwa Polskiego”. Tam też było Zgrupowanie. Zameldowała nas tam, i wzięto nas w swoje szeregi. Mnie wcielono do plutonu szturmowego u „Radosława”.

Uzbrojenie jakie miałem nie było niestety imponujące. Butelka z benzyną, granat zrobiony z puszki po konserwie. Później pistolet, który wyciągnąłem z piwnicy na ulicy Górskiego, bo miałem tam schowany pistolet ale tylko z trzema nabojami. Na Smulikowskiego urządziliśmy barykadę. Później dopiero dostaliśmy na całą naszą drużynę jeden karabin maszynowy z niewielką ilością amunicji. Tam też Niemcy zabili naszego dowódcę strzelając z Teatru „Ateneum”.

Drugim naszym rejonem walk była elektrownia na Powiślu, chcieliśmy stamtąd wyprzeć Niemców. Następnie była walka o Uniwersytet, ale się nie udało, później szpital na Solcu, tu się udało, odbiliśmy szpital. Pamiętam, w zaroślach za szpitalem mieliśmy placówkę. Niemcy przychodzili do szpitala, myśmy tylko czatowali, Tam wielkich walk nie było. Broni mieliśmy przecież mało a i amunicji niewiele, nasza podstawowa amunicja to tylko butelka z benzyną i „sidolówki”, granaty ręczne. Gdy zostaliśmy stamtąd wyparci przez Niemców poprzez ulicę Tamka doszliśmy do ulicy Zgoda. Później zdecydowaliśmy z kilkoma kolegami, że trzeba będzie przejść Książęcą na dół, bo tam też walczyli. W ten sposób dostaliśmy się do zgrupowania „Roga” i walczyliśmy na Czerniakowie o „Błaszanek”. Następnie walki po parzystej stronie ulicy Wilanowskiej. Niemcy byli po nieparzystej stronie, odległość między nami to raptem dwadzieścia metrów. I tak walka dom po domu, aż doszliśmy do numeru jeden. W międzyczasie przyszła jeszcze pomoc z Saskiej Kępy, przyszedł chyba 4. Pułk WP. Mieliśmy więc już więcej broni i dzięki temu mogliśmy się bić. Tam się udało szczęśliwie, pamiętam pod numerem dwudziestym czwartym czy drugim, był sklep. Na wystawie sklepu była zrobiona barykada z worków soli. Stała się naszą placówką a po drugiej stronie Niemcy na pierwszym piętrze mieli stanowisko karabinów. Niemiec do mnie strzelił, bo w tym momencie ktoś

przyszedł i powiedział, że jest jedzenie dla nas i odwrócił moją uwagę. Niemiec strzelił, tak że pocisk poszedł po lufie mojego karabinu, zerwał drzewiec, a odłamki tego drzewca i odłamki z soli wbiły mi się w ramię. Jak zdjąłem karabin z worka z solą, zobaczyłem, że kolba wisi na jednej drzazdze. Udało się, że mnie nie poranili, jedynie odłamki z soli i odłamki z drzewca miałem w ramionach. Siostra sanitariuszka zaczęła wyciągać to, co wbiło się w skórę ramion, coś przyłożyła, piekące mocno. Nie tak głęboko, tylko pod skórę wszystko weszło. Dom na Wilanowskiej 1, dokąd się dostałem, był załadowany rannymi i zabitymi, i jeszcze dwa dni w tym domu się utrzymaliśmy. Postanowiliśmy, że przejdziemy do Wisły i nocą z 19 na 20 września doczołgaliśmy się do Wisły. Tam był na wpół zatopiony statek „Bajka”. Koło statku „Bajka” leżeliśmy na zboczach brzegu, jeden przy drugim, czekaliśmy na łodzie, które stamtąd przychodziły, Niemcy ostro bili do nas z granatników. Przyszły trzy łodzie. Takie szalupy to były. Rzuciliśmy się z brzegu do tych szalup, załadowując je ponad normę. Szalupy wypłynęły z cienia brzegu, dalej jasno było bo się paliły domy na Solcu, i wtenczas Niemcy zaczęli tak tłuc z karabinów, z moździerzy, z granatników, że rozbili te łodzie. Byłem z kolegą i kolega do mnie mówi: „No co, idziemy do wody?”. Dopłynęliśmy, a raczej doszliśmy do brzegu, rozebraliśmy się, na szyi miałem pantofle na sznurowadłach i marynarkę. Człowiek był spragniony więc pierwsza rzecz, to wody się napiłem... Odsuwałem trupy, które płynęły wodą. Weszliśmy do wody, woda zimna, 20 września przecież. Znałem Wisłę w tym miejscu doskonale. Chciał też ze mną płynąć kolega, Zbysio Szpakowski, ale mówi: „Nie umiem pływać”. Leżąc, pokiwał mi tylko ręką... Odpłynąłem wraz z trzema czy czterema kolegami od brzegu. Przy brzegu woda była głęboka. Niemcy rąbali do nas bez przerwy jak do kaczek z pocisków smugowych, jasnych. Dopłynęliśmy do środka Wisły, bałem się, że woda zniesie na wrak mostu, więc na czworakach po płyciźnie, która tam była poszliśmy w górę Wisły jakieś 150 metrów i dalej na drugą stronę. Na drugiej stronie Wisły też była głęboka woda, żołnierz pomógł mi wyciągnąć się z wody, wówczas marynarka zsunęła mi się z szyi i odpłynęła. Tylko pantofle zostały. Skierowano nas drugą stronę za wałem do jakiegoś budynku. W sumie przepłynęło nas piętnastu. Z moim dowódcą plutonu Staśkiem Komornickim, późniejszym generałem WP, zginął w katastrofie Smoleńskiej, leżeliśmy na jednym łóżku, takim żelaznym, sama siatka, przykryta prześcieradłem, dygotaliśmy z zimna przez dwie godziny. To było męczące. Rano normalnie mieliśmy wyjść stamtąd, tymczasem każdy, czym tylko się dało chciał się przykryć. Znalazłem płaszczyk damski. Tak szliśmy później Wałem Miedzeszyńskim i dalej Aleją Waszyngtona. Patrzymy, słońce zaczęło wschodzić, ptaszki śpiewają, trawa pachnie – ojej jakie to przyjemne było. Doszliśmy do pierwszych domów na Grochowie.

W trakcie walk powstańczych dołączali do nas przedstawiciele innych narodowości. Zapamiętałem epizod w trakcie walk na Czerniakowie gdy dołączył do nas jeden Żyd z getta – Rumun. Adwokat, niestety nie pamiętam nazwiska, był bardzo odważny, nie znał zbyt dobrze języka polskiego. Porozumiewał się ze mną tylko po francusku, mówił, żebym się pilnował, diabelnie był odważny. Przepływaliśmy Wisłę. Płynął za mną jakieś sześć, siedem metrów. Jak mi pantofel zestrzelili z ramienia, to tylko słyszałem bulgot nięcie i on poszedł na dno. Nie udało mu się przepłynąć.

Na naszej placówce na ulicy Smulikowskiego, w Związku Nauczycielstwa Polskiego, była też kuchnia, coś dawali do jedzenia. Później, w drugiej części Powstania jak byłem u „Roga” na Czerniakowie, było już znacznie gorzej z jedzeniem, z pićmi. Jak byliśmy jeszcze na Powiślu, to mąkę od Haberbuscha żeśmy w workach przynosili i oddawaliśmy do kuchni. Słabe to było jedzenie, już nie pamiętam szczegółów dokładnie, ale jak widać dało się przeżyć. Na Czerniakowie, to nawet nam wody brakowało. Jak się do Wisły dorwałem, to ta woda była

wybawieniem. Nie lepiej było z ubraniem. Gdy wychodziłem z domu miałem tylko marynarkę, spodnie i swoje pantofle, powstanie miało przecież trwać tylko kilka dni.

Ciągnęło nas do domu by zobaczyć co się tam dzieje. Ciągłe byliśmy w akcji, nie bardzo można było sobie na to pozwolić. Mój dom, jeszcze ten poprzedni był w pobliżu, na ulicy Górskiego numer 2. W czasie Powstania prosiłem, żeby mnie dowódca wypuścił i jak mnie puścił, to poleciałem na Górskiego zobaczyć czy dom stoi. Dom wówczas zajęty był przez zgrupowanie akowskie, popatrzyłem sobie. Z drugiej strony ulicy, bo znałem ten dom doskonale, były dwie bramy – wejściowa główna i boczna. Tą boczną to kareta Górski wyjeżdżał, to znaczy jego stangret kareta wyjeżdżał. Siwka i kareta miał dyrektor szkoły Górskiego, Wojciech Górski.

Czas powstania to także czas serdecznych i przyjacielskich kontaktów z kolegami z drużyny. Przecież byliśmy bardzo młodzi a więc normalnie jak to młodzi, jak troszeczkę wolnego od walki było to myśmy sobie nawet śpiewali. W szczególności zaprzyjaźniłem się ze Zbyszkim Szpakowskim i z jego przyszłą żoną, która tam, na Powiślu mieszkała. Gdzieś tam jej rodzice mieli działkę. Ona miała tyle kartofli... Raz zrobiła nam placki kartoflane, którymi żeśmy się raczyli. Ach przysmak był nie z tej ziemi. I teraz jak spotykamy się, to ja często mówię: „Jagusia tak mnie Twoje placki smakowały”.

Było i miejsce na życie religijne. Były msze, normalne w kościele świętej Teresy i później ołtarz polowy był, i był ksiądz, pamiętam odprawiał msze i prowadzone były modlitwy. Jeżeli chodzi o Czerniaków to już nie było tam nabożeństw, zbyt intensywne walki, myśmy byli otoczeni ze wszystkich stron tak, że były to bardzo ciężkie warunki, nawet drzwi nie można było otworzyć. Pamiętam w jakiejś fabryce byliśmy. Mieliśmy butelkami z benzyną zniszczyć czołg, który dochodził do barykady. Tam był mur, my staliśmy na górze patrzyliśmy z kolegą, i do nas tak zwany gołębiarz – Niemiec, strzelił. Pocisk między nami tylko przeleciał. Odkręciłem się: „Chodź, bo zabije nas”, odskoczyliśmy jakieś trzy cztery metry, drugi strzał. Kolega klap, leży. Podskoczyłem do niego, ale widzę że ma przestreloną głowę, to już nie dawało rady się nim zająć, więc uciekłem.

Najgorsze wspomnienia. Najgorszych się nie pamięta, tylko te najlepsze się pamięta. Najprzyjemniejsze. Że się zjadło, że ominęła mnie kula, że ominęło mnie jakieś nieszczęście, ale były też ciężkie chwile. Pamiętam taki epizod, który jednak skończył się dobrze dla mnie i dla innych. W budynku na Wybrzeżu Kościuszkowskim (obecnie budynek sądu grodzkiego) na pierwszym piętrze był balkon kamienny i tam miałem placówkę obserwacyjną. Dwie doby przeleżałem na tym balkonie, podrzucali mi coś do zjedzenia i aż mnie oczy bolały od tego ciągłego intensywnego obserwowania i przestawałem widzieć. Wzięli mnie do szpitalika przy kościele świętej Teresy na Tamce, leżałem tam jakąś niecałą dobę, coś mi przykładali na oczy, bo miałem opuchnięte ale uciekłem stamtąd. Powiedziałem: „Nie, nie będę leżał”, bo już mi przeszło trochę. Kilka godzin po tym był nalot. Bomba poleciała po ścianie tego domu i rozbiła się na wysokości suteryny, zdemolowany był cały pokój, w którym wcześniej leżałem. Poszedłem tam i zobaczyłem, że moje łóżko jest powykręcane na wszystkie strony. Całe szczęście, że wcześniej je opuściłem. Pytałem się później ile rannych jest w środku. Mówili, że nie ma, bo jak był nalot to wszystkich do korytarza wepchnęli i to szczęśliwie się udało.



Co mi się najbardziej utrwaliło z Powstania ? W momencie, gdy wiadomo już było, że Powstanie upadnie, chyba czekanie, żeby przepłynąć przez Wisłę, na drugą stronę. Leżenie na

zboczu brzegu Wisły, jak do nas rąbali z granatników, ten potężny ogień. I pójście do wody. Udało się przepłynąć z wielkim trudem. Później dygotanie z zimna. Potem spotkanie... jak przepłynęliśmy Wisłę i szliśmy już na Grochów i na Grochowie gdzie nasi ludzie byli. Ja mówię: „Ludzie są!”. Do nas wyskoczyli, dorwali: „To wy stamtąd? Z Warszawy?”. Na początku myśleli, że my to Niemcy, byliśmy poprzebierani, co kto znalazł... „Co to Niemcy?” „Nie. AK.” – mówiliśmy. „Aha, powstańcy”. Ja myślę: „O, powstańcami nas nazywają...”. To były pierwsze słowa, słuchane z dumą że jesteśmy powstańcami.

Stamtąd dostaliśmy się na Plac Szembeka do szkoły, tam dostałem coś do ubrania: kalesony, koszulę i płaszcz policyjny, bo byłem jedynie w płaszczyku damskim zapiętym tylko na jeden guzik. I ludzie przychodzili, pytali się co potrzeba, co mógł to każdy przynosić nam. Wtedy też przyszedły dwie młode dziewczyny i mówiły: „My jesteśmy z AK z Poznania, mieszkamy przy ulicy Grochowskiej, chodźcie do nas, dostaniecie jeść i się prześpicie”. Poszliśmy. Okazało się, że to była bardzo sympatyczna rodzina z Poznania, dali nam obiad, skromny bardzo i kazali się położyć spać. Położyłem się na kanapie, ale nie mogłem zasnąć, było za miękko, więc położyłem się na podłodze, wziąłem pod głowę płaszcz policyjny, który miałem i zasnąłem. Panie proponowały nam zamianę pokoju z oknami wychodzącymi na Warszawę na ulicę Grochowską. Ja mówię: „Nie, nie, tu będziemy”. „Ale tutaj jest ostrzał...”. Pocisk kiedyś przeleciał. Dla nas to świergot był. Co takiego jeszcze było śmiesznego? Jak nas żołnierz prowadził z armii kościuszkowskiej Aleją Waszyngtona, pociski artyleryjskie przelatywały nad nami, wtedy on od razu padał na ziemię i czekał. Myślę, co on się boi? Pocisk przeleciał to poleciał i już przecież nie jest groźny. Dla nas to było normalne, wrażenia nie robiło. Za dużo tego ostrzału mieliśmy w Warszawie. Po przespanej nocy poszliśmy do WKR-u, które było przy Dworcu Wileńskim. Powiedziałem, że jestem z Powstania... Zaczęli mnie opisywać... Prosiłem, by jakieś papiery mi dali, bo nic nie mam, jeśli chcieliby mnie wylegitymować... Chciałem wyjść. Powiedzieli, że jestem już w wojsku. Dobrze, to mi nie przeszkadzało. Stamtąd wzięli nas do Zielonki, umundurowali. W Zielonce byliśmy w I batalionie 1. Pułku Kościuszkowców. Mundur był troszeczkę skromny, drelichowy i płaszcz. Stamtąd ćwiczenia, walka w Płudach, odpoczynek w Ząbkach... Później dalsze walki z Niemcami. W styczniu 1945 ostre pogotowie – marsz z Góry Kalwarii do Warszawy nocą. 17 stycznia doszliśmy do Warszawy do Placu Narutowicza i rozlokowaliśmy się w domach na Filtrowej. Poprosiłem dowódcę swojej kompanii, nazywał się chorąży Buczek, żebym mógł pójść zobaczyć czy mój dom stoi. Poszedłem na Górskiego... Nic tylko gruzy same. Na Chłodniej, gdzie później mieszkaliśmy, też gruzy z domu... Na ulicy Górskiego spotkałem kolegów ze szczenięcych lat i mojego dowódcę Baltaziuka. Jak była później defilada na rogu Alej Jerozolimskich i Marszałkowskiej, byłem wśród ludzi cywilnych, schowałem się, żeby mi nie powiedzieli: „Jak to w defiladzie udziału nie bierzesz?”. Jak się ludzie dowiedzieli, że byłem w Powstaniu, a jestem teraz w wojsku, to mnie tak spoił, że na oczy nie widziałem, tak byli zadowoleni. Utrwaliło mi się też w pamięci, jak mój dowódca przedwojenny, sierżant Baltaziuk, jak defilada się zaczęła, hymn zagrali, objął latarnię i rozpląkał się... Mówi: „Tyle czekaliśmy...”. To mam ciągle w oczach...

W Warszawie byliśmy jeszcze jeden dzień i później z Warszawy – rozkaz – na Bydgoszcz zaczęliśmy iść, bo Bydgoszcz była zajęta. Jak szliśmy do Bydgoszczy przez Jabłonną, pamiętam te miejscowości... ludzie wychodzili: „Co za wojsko idzie?”. Zaskoczeni byli... i zaczęli nam klaskać... Nawet podchodzili do nas i ściskali nas, dawali, co tylko mieli do jedzenia, wiedzieli że nie jest dobrze z jedzeniem. Zaskoczeni byliśmy przyjęciem i atmosferą z jaką nas witali. Doszliśmy do Bydgoszczy w nocy, trochę strzelaniny było... Pamiętam jak weszliśmy do jakiegoś domu w Bydgoszczy i pić mi się chciało, mówię: „Chyba tu mieszkają ludzie, zapukam do jakiś drzwi...”. Otwierają się drzwi i ktoś wygląda... Ja mówię: „Czy nie ma ktoś coś do

picia?”. „Ojej! Wojsko! Polacy!” Byli zaskoczeni... Wskoczyła, ucałowała nas taka młoda babka, dała pić... Później dostałem nawet kwiatek, pamiętam, taki wyjęty z doniczki... Trzymałem ten kwiatek, ale mi się później po drodze poniszczył. Z Bydgoszczy poszliśmy dalej na Wał Pomorski. Wał Pomorski – walki, śnieg. Zostałem postrzelony, pocisk rozerwał się na hełmie, całe szczęście, że pod hełm miałem jakąś czapkę, bo zimno było. Spaliśmy na śniegu, w nocy się szło, w dzień się spało na śniegu. Byliśmy słabo ubrani, po pięciu kładliśmy się na śniegu, dwa płaszcze kładliśmy, takie dwie plandeczki, kładliśmy się w szczyryk, przykrywaliśmy się trzema płaszcami, jeden tylko pilnował by paliło się małe ognisko. Zimno było tak że jak myśmy wstawali, to rozprostować się nie mogliśmy. Później jak dostałem w łepetynę pod Jastrowiem, leżałem miesiąc w szpitalu. Do szpitala doszliśmy po linii telefonicznej. Szedłem z kolegą, który dłoń miał urwaną... Doszliśmy do szosy przez las. Był duży ruch na szosie przyfrontowej. Doszliśmy do wielkiego namiotu, w którym był szpital polowy, piecyk był w środku, słoma, na której leżeli ranni żołnierze... Pierwsza rzecz, jak tylko doszliśmy do szpitala, to każdy dostawał zastrzyk i każdy musiał mieć karabin, nie można było zostawić karabinu na polu walki... Dostawaliśmy zastrzyk pod łopatkę, sanitariusz robił... Bolesny zastrzyk... Nie wiem co to za truciznę nam dawali... Bolesny diabelnie, że powietrza złapać nie można było. Poleżałem miesiąc w szpitalu we Flatowie, dzisiejsze Złotowo, w barakach poniemieckich i później pierwsza grupa ozdowieńców, znów na front. Do piechoty powiedziałem, że nie pójdę, udało mi się wkręcić do 13. Samodzielnego Pułku Artylerii Samochodowej, to są działa pancerne na podwoziu czołgu. To był prosty sposób, szukali kierowców. A ponieważ akurat zdobyłem prawo jazdy w Warszawie w czasie okupacji, więc mi kazali na gazik wejść i się przejechać kawałek. Wobec tego przejechałem się, *Charaszo* – mówi major Zwierzański, ruski Polak. Wzięli nas pięciu do tego pułku. Byłem później w 13. Samodzielnym Pułku Artylerii Samochodowej i tam dostałem się do załogi czołgu, który został trochę uszkodzony i nauczyli mnie jak się prowadzi czołg. W Kołobrzegu mój czołg dostał z panzerfaustu, zapalił się silnik, uciekłem przez właz przedni a pozostali przez wieżę nie mogli wyjść, bo się zablokowała czy coś podobnego. Musiałem się odczołgać od tego jak najszybciej... To pamiętam, Kołobrzeg, lotnisko Gross Zaben. Udało mi się stamtąd wydostać. Później byłem w sztabie technicznym dostarczając amunicję i paliwo do czołgów na linii walk. (...) Dowódcą tego pułku był Curoczkin, pułkownik gwardii, osiemdziesiąt procent było ruskich Polaków i Ruskich, pułk miał pięćset osób. Najbardziej śmieszyło mnie to, bo mnie wołał czasami pułkownik gwardii Curoczkin: *Chadzi k mienia*, coś znalazł i pytał, co to jest ? Ja pytam, dlaczego mnie o to pyta? Powiedział: „Jesteś najbardziej wykształcony w tym pułku”. Ja mówię, żadnego wykształcenia, tylko maturę mam. Następnie: „Ty jeden tylko z Francuzami się porozumiesz, po niemiecku porozmawiasz...”.

Po wojnie niektórzy, nadgorliwi wypominali mi, że byłem w AK. Pamiętam, jak Stalin zmarł, pracowałem w Przedsiębiorstwie Robót Kolejowych, wezwali nas na salę i obwieścili, że zmarł wielki marszałek Stalin. To było na świetlicy. Mnie tylko usta się skrzywiły w uśmiechu, to sekretarz partii wezwał mnie później do siebie: „Wyście się uśmiechnęli!”. Ja mówię: „Nie, z bólu się skrzywiłem”. Wcześniej, jeszcze w wojsku gdzie wcielono mnie do batalionu nieomal samych Akowców z Pragi i z Warszawy byliśmy pod specjalną ochroną. Później była opinia – żołnierz dobry, wcale politycznie niezainteresowany, ale bojowy... Tak, że w sumie była o nas dobra opinia. Pamiętam jednak, już po wojnie ten sam sekretarz partii mnie wezwał na kolejną rozmowę, a kolega mi poradził: „Słuchaj, były takie bumażki, na tej bumażce było, że brałeś udział w zdobyciu miasta i zdobyciu Berlina, pokaż mu to”. Bumażkę mam do tej pory, podpisany pułkownik gwardii radzieckiej, i jeszcze podstemplowane. Pokazuję sekretarzowi. Sekretarz zdębiał i odczepił się ode mnie. Później jak do mnie pretensje mieli, to mówiłem tylko, że ja przecież w wojsku polskim byłem i biłem się, zostałem inwalidą wojennym.

Wcześniej jeszcze, na drodze do wyzwolenia były wpierw walki pod Kołobrzegiem, Kolberg to się nazywało, tam biliśmy się. Później stamtąd zjechaliśmy na południe, forsowanie Odry i na Berlin. Doszliśmy do Berlina i tam biliśmy się, otoczyliśmy Berlin z drugiej strony i dalej na południe nas przesunęli. Doszliśmy aż do rzeki Łaby. Na łabie spotkanie z Amerykanami. Staliśmy tam może dobę i zaczęły niektóre oddziały przyskać na drugą stronę. Wycofali jednostki polskie i Rosjanie zajęli te miejsca. Major politruk pyta się: *Szto, ty nie ubierzał?*. Ja mówię – „Po co? Ja chcę do Warszawy wrócić”. Jednak jeszcze były trzy miesiące okupacji, nad Łabą. Do Warszawy przyjechaliśmy pierwszym transportem, staliśmy w Legionowie... Po jednej stronie szosa stała brygada Westerplatte, po drugiej stronie 13. Samodzielny Pułk Artylerii Samochodowej. Prowadziłem kancelarię techniczną pułku. (...)

Wtedy też udało mi się nawiązać kontakt z moją siostrą. Wyszła w międzyczasie za męża, po oswobodzeniu Oflagu IIC Woldenberg, w którym osadzony był jej narzeczony Zygmunt. Wiedziałem, że Zygmunt wraz z moją siostrą Wandą osiadł w Chojnicach i napisałem tam. Jego znali, bo on tam uczył w gimnazjum i był jakimś szefem szkolenia zawodowego. Udało mi się zdemobilizować w marcu 1946, choć jakoś nie bardzo chcieli mnie puścić... Pojechałem do Chojnic i tam spotkałem siostrę. Z bratem też kontakt nawiązałem, był na zachodzie, we Francji...

Czy byłem w jakiś sposób represjonowany? Nie. W zasadzie nie spotkałem się z tym, ponieważ wiedzieli, że ja byłem w Wojsku Polskim, dostałem sporo odznaczeń i medali za udział w zdobyciu Berlina, to była moja tarcza ochronna. Na początku, pamiętam, mówiono, żeby się zalegalizować, że się było w Armii Krajowej. Nie poszedłem na to, inni koledzy ujawnili się, to ich rzeczywiście później aresztowano. Pamiętam, w Alei 3 Maja było biuro, tam się zgłaszali... Ja nie poszedłem... Ale uratowało mnie właśnie to, że byłem na froncie, mam sporo odznaczeń, z piętnaście medali dostałem...

Czy Powstanie miało sens, czy powinno być wywołane? Powinno być, to była konieczność. Tym bardziej, że inaczej się patrzyło w tym wieku. Chcieliśmy się bić z Niemcami, pragnęliśmy wolności, mieliśmy dość Niemców. Trzeba było pokazać światu, że Polska jest narodem, który rozumie słowo Ojczyzna. Trzeba było dać świadectwo następnym pokoleniom.



Stanisław Burzyński, Ps. Burza
Warszawa, 1 marca 2011.

Opr. ap
1 sierpnia 2024